Odległy Bliski Wschód

Niemiłosierny ukrop ognistej tarczy rozlał się nad cała przestrzenią dokąd okiem sięgnąć. Nigdzie nie można było się skryć, schować na krótką chwilę, żadnego ocienionego miejsca – dookoła tylko piach, tony suchego, ciężkiego piachu i przeraźliwie dręczący do głębi brak wody.

Byli w drodze już czwarty dzień, a drugi bez choćby kropli wody. Według jego obliczeń, jeżeli nie zbłądzili oczywiście, już jakiś czas temu powinni dotrzeć do oazy. Tej jednak nigdzie nie można było dostrzec. Tęsknym wzrokiem wypatrywali jej po każdym wczołganiu się na kopiec pustynnego piachu, ale prócz jego bezmiaru nic nie mogli dostrzec, co by dawało jakąkolwiek nadzieję na koniec ich męczarni. Przed nimi nieprzerwanie rozciągało się rozgrzane powietrze, unoszące się ciężko nad wydmami, które przyciągało ich do siebie niczym magnes, zwodząc swoim falowaniem. I gdy wydawało się, że tylko cud może ich uratować, ten właśnie się wydarzył!

Najpierw natrafili na zwłoki jakiegoś mężczyzny, a w niewielkiej odległości od niego bukłak do połowy napełniony wodą. I mimo że trup nieznajomego mężczyzny był blisko – na wyciągnięcie ręki, udręką przypominając o swojej tragedii, to specyficzne sąsiedztwo ani ich nie zrażało, ani też szczególnie nie niepokoiło.

– Abrahamie – powiedziała Sara, błagalnie patrząc mu w oczy. Jej wzrok był smutny i bezgranicznie zmęczony. – Proszę… łyk… jeden chociaż…

Oderwał spragnione usta od bukłaka i spojrzał na nią. W jego oczach nie było widać współczucia ani miłości, a jedynie pogardę i wyższość. To był wzrok kogoś, kto

przypominał nim o odwiecznym i trwałym podziale – na pana i sługę, i kto tutaj jest właśnie owym panem! Przez dłuższą chwilę przypatrywał jej się w milczeniu, jakby zbierał w sobie siły na atak, aż w końcu niespodziewanie powiedział:

– Trzymaj – podał jej bukłak z wodą i zaraz dodał tonem upomnienia: – Ale nie za dużo!

Dwa razy nie trzeba było jej powtarzać. Szybkim ruchem otworzyła bukłak i już w następnej chwili życiodajny płyn gasił jej nieokiełznane pragnienie. Chłonęła wodę zachłannie, głucha na cały zewnętrzny, pustynny świat, który i tak nie miał jej nic do powiedzenia – był niemy.

– Dosyć! – warknął gwałtownie Abraham, brutalnie wyrywając jej pojemnik z wodą. – Zwariowałaś?! Nie wiadomo, ile jeszcze drogi przed nami, a ty, jak zwykle, zachowujesz się bezmyślnie. – Pociągnął jeszcze dwa krótkie łyki i przewiesił sobie bukłak przez ramię.

Był wycieńczony, ale ta sytuacja jakby odrodziła w nim dawną energię.

– Jesteś tylko kobietą, nie zapominaj o tym! – powiedział i zabrzmiało to tak, jak co najmniej jakiś wyrzut. Jakby wolał być teraz tutaj z jakimś innym mężczyzną, albo nawet sam. Jakby bycie z kobietą było jakimś ciężkim grzechem, występkiem czy w ogóle jakąś okrutną zbrodnią wymierzoną przeciwko ludzkości. – Nawet jeżeli wyzioniesz tutaj ducha, to… – wykonał nieokreślony ruch ręką – nic się nie stanie. Sama dobrze o tym wiesz, że jesteś… jesteś mniej przydatna w obecnych warunkach. Gdyby nie ty, to… to może… – zawahał się – to z pewnością miałbym większe

szanse przeżycia z tą odrobina wody, jaką mamy. Chyba to rozumiesz?

Skinęła głowa. Nie miała sił na niego spojrzeć, a co dopiero spierać się z nim. „Trudno uwierzyć, że tyle lat z nim wytrzymałam – pomyślała. – Z tą chłodną, beznamiętną istotą, pozbawioną ludzkich uczuć. Zniszczył mnie… Nie mam nawet siły plunąć mu w twarz. Zresztą, co by to dało…? Boże, pozwól mi umrzeć bez cierpień. Uwolnij mnie od tej bestii w ludzkiej…”

– No co – odezwał się po chwili – odpoczęłaś? Trzeba się zbierać. Jest szansa, że się stąd wydostaniemy. Ale pod jednym warunkiem – musimy iść, ciągle iść, nie zatrzymywać się.

Nic nie odpowiedziała. Ogromne zmęczenie drogą, której końca nie było widać, spowodowało nagłą senność. Mimo lejącego się leniwie i bezlitośnie żaru z pękniętego nieba, spała. Snem przyjemnym, w którym byli wszyscy najbliżsi – zarówno ci żyjący, jak i ci, którzy jakiś czas temu odeszli, ale gdzie wszyscy razem byli uśmiechnięci i dziwnie beztroscy. A wokół pełno było soczystej zieleni.

Gdy nie odpowiedziała, Abraham spojrzał na nią i w tym samym momencie jakby doznał olśnienia. Pomyślał: „Musisz mnie zrozumieć, Saro – bez ciebie mam większą szansę. Samemu mi się uda, z tobą…” – Wolno wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył w dalszą drogę. Jego oddalająca się postać powoli malała, ginęła w drętwym powietrzu, sprawiając wrażenie, jakby się zapadała w gorącym, suchym pisaku, tworząc z nim spójną całość. Wkrótce, odprowadzana spokojnym wzrokiem Sary, znikła ostatecznie.

17.04.1988 r.